

Stanisław Kwiatkowski

To jest Paryż?

Klawiatura jest taflą lodu. Kompletnie nie czuję ocieplającego się klimatu. Wręcz przeciwnie. Na samą myśl o napisaniu kilku ciepłych słów o Paryżu marzną mi palce. Podobnie jak niektórym „czarnym”, którzy we wrześniowym upale, demonstracyjnie chodzili w kurtkach „na misiu” po Polach Elizejskich, podczas gdy „biali” protestowali w żółtych kamizelkach.

Zrobiliśmy bardzo dużo kroków. Tekst o długości metra powinien wystarczyć, ponieważ spędziliśmy w nim więcej czasu niż na powierzchni. Od powrotu minęły cztery dni, a przed oczami wciąż widzę płytki w głębi tunelu. Białe kafelki ciągnęły się kilometrami wzdłuż Sekwany, jak niekończąca się poranna toaleta Dominiki.

Wstawała o dziewiątej rano i przez trzy godziny pindrzyła się do popołudniowej sesji zdjęciowej dla „Vogue’a”. Jak nie przed wieżą Eiffla, to przed Luwrem. Wszędzie roilo się od hebanowych handlarzy pamiątek, a w naszym apartamencie od faraonek, choć od Egiptu

dzieliło je ponad trzy tysiące kilometrów w linii prostej, obsługiwanej przez Air France. France łączyły wszędzie.

Właściciel lokalu, w którym się zatrzymaliśmy, niemal do każdego mebla przykleił listek papieru toaletowego z instrukcją obsługi mieszkania o powierzchni siedemnastu, no!, może dwudziestu metrów kwadratowych, oczywiście w języku francuskim. „Nie otwierajcie szafy, bo wypadną drzwi. Wersalka się nie rozkłada. W plastikowej torbie pod oknem są wasze poduszki i kołdry. Attention! Używajcie kapci. Na podłodze jest brise de verre¹, po ostatniej imprezie. Mrówkami się nie przejmujcie. Szczury są gorsze :)”. Poza tym, na klatce schodowej do tego stopnia śmierdziało moczem, że byliśmy zmuszeni wkładać do nosa tampony, żeby nie zemdleć. Nie mieszkaliśmy w najgorszej dzielnicy. O nie! To był dziewiętnasty dystrykt niedawno zrewitalizowany. Na zdjęciach umieszczonych w Internecie lokal wyglądał całkiem do rzeczy.

W przeciągu dwóch dni mieliśmy dość Paryża. Aneta kichała na cały ten Wersal, a zasmarkana Karolina ciągnęła się na wzgórze Montmartre jak żółwica w ciąży. Jajo można było znieść. Przekupiłem ją arabskimi frytkami, po których

dostała biegunki, a Dominika przez cały pobyt nie zrobiła ani bobka. Ach! Te ich wspaniałe bagietki! Kupowałem chrupiące u „piekarza rzemieślnika”, kładłem na półce zawieszanej na ścianie, ponieważ na blacie kuchennym się nie mieściły, a one po piętnastu minutach zwisały z niej jak zużyte kondomy. Cóż było począć? Robiłem z tych glutów kanapki i wychodziliśmy na miasto trzymając się za kieszeń. Przy Moulin Rouge spotkaliśmy parę Polaków „obrobionych” ze zdjęć w telefonach. Oba smartfony stracili w podziemnej kolejce. Paryscy złodzieje triumfowali. Pod Łukiem pstryknęliśmy im kilka fotek i przesłaliśmy mailem.

Dopiero na cmentarzu Pere-Lachaise, poczułem, że żyję. Wstaliśmy z Anetą wcześniej i około ósmej byliśmy już przy grobie Chopina. Z oddali dobiegały stłumione dźwięki miasta. Jak okiem sięgnąć żadnych „bambusów” z wyszukаныmi fryzurami, tylko kasztanowce i klony. I setki tysięcy przepięknych mogił. Chodziliśmy brukowanymi alejkami wśród pożółkłych liści. Na horyzoncie żadnych Japończyków, bezczelnie wciskających się przed obiektyw. Co za ulga.

U Balzaca, na mosiężnej księżce leżało kilka drobnych monet. Czyżby tyle warta była jego literatura? Grobowiec Delacroix porastał mech, a na granitowej płycie „postrzelonego” Apollina-

¹ Z fr. tłuczone szkło.

ire'a ktoś umieścił kartę „jokera” i przycisnął dwoma magicznymi kamykami. Zagubionego między nagrobkami Prousta ledwie odnaleźliśmy. Na niziutkim nagrobku z czarnego marmuru leżały kasztany wyłuskane z kłujących łupin czasu. Natomiast pomnik ciągle młodego Wilde'a otaczała hartowana szyba, pokryta namiętymi pocałunkami fanek i fanów, a za nią, wiązanki uplecione naprędce ze słów podziękowania, i wizytówka rosyjskiego prawniko-pisa-

rza z prośbą o kontakt telefoniczny bądź mailowy oraz koronkowe, szaro-niebieskie majtki.

Wychodząc z cmentarza, niespodziewanie, natknąłem się na Raymonda Roussela. Grobowca nie pokrywał nawet mech. Jakby cały świat o nim zapomniał. Nie zdziwiło mnie to w ogóle. Jego książki trzymają się z dala od realizmu i psychologii.

– O czym pisał? – zapytała Aneta.

– Trudno powiedzieć. Podróżował

od znaczenia do znaczenia. Od orderu do zamówienia. Język ciągnął go na przelaj.

– My też podróżujemy.

– Podobno, gdy dopłynął do Indii, powiedział: „A więc to są Indie!”, po czym zamknął się w kajucie i szczelnie zasłonił kotary.

– Co za nimi robił?

– Wiadomo. Pisał.

Dotknąłem dłonią grobu i odleciałem do Polski.

STANISŁAW KWIATKOWSKI

– urodzony w Hajnówce. Z wykształcenia filozof, absolwent Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Ma dużo wolnego czasu, który przeznaczają na pisanie. Obecnie mieszka w Radomiu.

